

O CO WALCZY POLSKI ŻOŁNIERZ ?

W czasie pobytu na froncie włoskim Naczelny Wódz wygłosił do żołnierzy II Korpusu przemówienie, którego następujący ustęp, z niewiadomych nam przyczyn, nie został podany dotychczas w żadnym sprawozdaniu:

"Krzyże na piersiach i te inne krzyże na mogiłach polskich, które wyrosły już na ziemi włoskiej, będą dla nas przypomnieniem, o co się bijemy. Bijemy się o Polskę, o Jej prawo, o Jej całość, o wszystkie Jej wsie, miasta i miasteczka. Bijemy się za ruiny Warszawy, za poharbiony Wawel, za umęczony Poznań. Bijemy się o Gdynię, ten cud energii polskiej, o Wilno - gdzie spoczywa serce Wielkiego Marzsałka, o Lwów - gdzie snem wiecznym śpią Orleńta nasze, o Krzemieniec - kolebkę Słowackiego, który pisał o Bogu, że:

"Dumny czyn jedynie ubłagać Go jest w stanie,

"Nie zaś łąza przelana przed kościoła progiem."

Jeśliby ktoś z daleka, czytając moje słowa, chociaż zarzucił im brak realizmu, to odpowiadam zgóry: Żołnierz polski jest, był i pozostać musi idealistą pełnym wiary, że prawda, sprawiedliwość i zasady moralne rządzić będą światem. Żołnierz bez ideałów stałby się tylko specjalistą w sztuce zabijania, sprzedającym swą duszę za żołąd i pełny garnek."

-oo-

CIAGLE TE SAME METODY

Czy republiki bałtyckie, czy Estonia, Łotwa i Litwa mają prawo do samodzielnego bytu państwowego? Tematowi temu poświęca książkę b. prezydent republiki estońskiej August Rei, wydaną w Sztokholmie nakładem Komitetu Bałtyckiego. Były prezydent Estonii relacjonuje właściwie po kronikarsku kolejność wydarzeń z jesieni 1939 i z wiosny 1940 roku. Głównie pisze o Estonii, nawiasowo naprowadza niektóre fakty, odnoszące się do losów Łotwy i Litwy.

Z tych autentycznych notatek najwyżej w hierarchii państwowej postawionego kronikarza da się wyczytać jedną prawdę:

że metoda pozbawiania państw ich niezawisłości była w 1939 i w 1940 taka sama jak obecnie. Że równocześnie z uroczystymi deklaracjami o chęci dobrego sąsiedzowania z "wielkimi silnymi republikami na swej zachodniej granicy", przeprowadzał wielki i silny Związek Sowiecki posunięcia technoczo-polityczne, unieszkodliwiające zupełnie potrzebę współżycia sąsiedzkiego, przez obejmowanie swymi "przyjaznymi" ramionami całości dobrych sąsiadów. Zanim nastąpił ten ostatni akt, działały oczywiście fronty "wolnych patriotów" każdej z republik, ustalano za obopólną zgodą bazy bezpieczeństwa. Ale zakończenie po tych wszystkich fazach przejściowych było stale jedno i to samo.

Ponieważ leży w ludzkiej naturze, że naogół pamięta się lepiej i dokładniej rzeczy odleglejsze i mniej znane, natomiast zapomina się o rzeczach bardzo niedawnych i dobrze znanych, będzie wskazane zgodnie z kolejnością notatnika prezydenta Rei przejść wydarzenia choćby główniejsze, z których w swej relacji zdaje on sprawę.

W jesieni 1939 roku zawarły trzy republiki bałtyckie pakt przyjaźni z ZSRR. Na podstawie tych przyjacielskich układów otrzymały Sowiety prawo utrzymywania w portach wszystkich trzech republik baz dla swej marynarki wojennej i garnizonów lądowych w określonych punktach strategicznych, jak wreszcie utrzymywania własnych lotnisk. Uroczystie ogłoszona deklaracja rządu sowieckiego stwierdzała, że nie jest zamierzeniem ZSRR pod żadnym warunkiem naruszyć suwerenność państwowa krajów bałtyckich, ani też wpływać na zmianę struktury państwowej i gospodarczej tych krajów. Dnia 21 czerwca 1940 roku wybuchły w Tallinnie rozruchy uliczne. Dziwnym zbiegiem okoliczności tego samego dnia zdarzyło się to samo w Rydze i w Kownie. W rozruchach na ulicach Tallinna brali udział marynarze i żołnierze rosyjscy, mający swą bazę w porcie. Sowiecki okręt wojenny "Marat" skierował swe działa na miasto.

Jeszcze tego dnia musiały wszystkie trzy państwa bałtyckie na życzenie Moskwy przeprowadzić zmianę gabinetów. Estonia

stworzyła gabinet kompromisowy pod przewodnictwem premiera Varesa, Łotwa pod przewodnictwem profesora Kirchensteina, Litwa pod przewodnictwem Paleckisa. Wszystkie trzy gabinety wystosowały oświadczenia, proponujące przyjaźń i dobrą sąsiedztwość. Wszystkie trzy gabinety motywowały swą politykę wewnętrzną wobec własnych narodów koniecznością zdobycia zaufania ZSRR. W tym okresie prezydenci Estonii i Łotwy sprawowali jeszcze nadal swe funkcje. W obu tych krajach kontynuowano więc poprzednią formę konstytucyjną. Prezydent Litwy Smetona opuścił kraj w chwili wstąpienia wojsk okupacyjnych sowieckich.

W dniu 6 lipca 1940 ogłosił rząd Estonii wybory do parlamentu. Rząd premiera Varesa chciał także i w ten sposób wykazać, że jest rządem realizującym prawdziwą wolę ludu. Jakkolwiek ordynacja estońska przewidywała, że wybory, ogłoszone 6 lipca, mogą być wykonane nie wcześniej jak 10 sierpnia, zdecydowano wyznaczyć dzień wyborów na 14 lipca. Podobnie też poddano reformie zasadę osobistego głosowania, a wprowadzono nową, że głos można oddać przez pełnomocników.

Dla przeprowadzenia wyborów zaproszono obserwatora sowieckiego. W Tallinnie był nim Żdanow, w Rydze - Wyszyński, w Kownie - Dekanozow. Równocześnie z ogłoszeniem nowych wyborów ujawniono program komunistycznej partii, współdziałającej z szerokim wachlarzem przedstawicieli 22 innych organizacji politycznych, które tworzyły razem "Blok ludu pracującego". Takie bloki "koalicji międzypartyjnych" powstały równocześnie we wszystkich trzech krajach bałtyckich. Ich programy polityczne nie różniły się niczym między sobą. Różniły się tylko tym, że w każdym z trzech krajów ogłoszone zostały w miejscowym języku. Teoretycznie mogli występować w wyborach także kandydaci innych ugrupowań poza kandydatami "Bloku". Zostali oni jednak przez komisje wyborcze zdyskwalifikowani, ponieważ w programach swych najczęściej zgłaszali hasła wolności prasy, wolności przekonań i wolności zgromadzeń. Jak uzasadniano przy dyskwalifikowaniu kandydatów, wystawiających hasła tych trzech wolności - zachodziła obawa, że wolności tego rodzaju mogłyby być wykorzystane ze szkodą dla narodu i państwa.

Natomiast w dniu wyborów, t. j. 14 lipca 1940 r. ogłosiło oficjalne pismo ówczesnego rządu estońskiego, że niezgodne z prawdą są wszelkie tendencyjne plotki, stwierdzające, jakoby ktokolwiek zmierzał do stworzenia reżimu sowieckiego na terenie suwerennej Republiki Estońskiej. Tego samego rodzaju oficjalne enuncjacje ogłoszono tego samego dnia w urzędowym

dzienniku Łotewskim.

21 lipca 1940 r. odbyło się inauguracyjne posiedzenie parlamentu Łotwy i Litwy. Na tym inauguracyjnym posiedzeniu uchwalono jednogłośnie przyłączenie obu republik do Związku Sowieckiego. Następnego dnia taką samą uchwałę powziął nowy parlament estoński.

Zarówno w Estonii, jak i na Litwie i Łotwie nie wszyscy nowo obrani członkowie parlamentu zdecydowani byli z lekkim sercem zrezygnować z niepodległości swych państw. Toteż wszędzie zastosowano tę samą metodę wpływów na parlamentarzystów. O metodzie tej pisał jeszcze w 1940 r. litewski poseł w Sztokholmie, Ignas J. Schejnins, że posłom do parlamentu zakomunikowano, iż w razie niegłosowania za włączeniem się do ZSRR "będą zastrzeżeni". To twierdzenie posła Schejninsa zostało zgodnie potwierdzone w niedawny czasie przez byłego socjaldemokratycznego prezydenta Kowna dr A. Garmisa, który był członkiem parlamentu litewskiego z ramienia "Bloku" w lutym 1940 r.

1 października 1940 wygłosił komisarz Mołotow mowę na posiedzeniu Rady Komisarzy. W mowie tej powiedział, że "kraje bałtyckie przeprowadziły u siebie wolne wybory parlamentarne oparte o demokratyczne prawo głosowania. Przy tej sposobności narady Estonii, Łotwy i Litwy dokonały wyboru takich przedstawicieli, którzy jednogłośnie oświadczyli się za wprowadzeniem sowieckiego systemu i za przyłączeniem tych krajów do Unii Sowieckiej".

Tempo wydarzeń politycznych na terenie trzech krajów bałtyckich było - jak widać - szybsze niż w niejednym rysunkowym filmie, nie mającym żadnych aspiracji poważnych. Enuncjacje kompromisowych rządów republik bałtyckich i przyjazne oświadczenia rządu sowieckiego następowały po sobie jak toasty na obiedzie w gościnnym domu. Tylko że fabuła rysunkowego filmu nie miała happy end'u. Tylko że wyraziciele "gościnności domowej" srodze się zawiedli.

-00-

WSPOMNIENIE PRZESZŁOŚCI STRASZA HITLERA

Wznow to odwieczne zagadnienie: czy historia się powtarza... Dawno już zerwaliśmy u fatalistyczną wiarą, że wydarzenia dziejowe, układające się w pewne określone sploty sytuacyjne, związane z sobą węzłami analogii, muszą się rozwiązywać w sposób analogiczny. Dziś już nie wolno ujmować historii jako czegoś bezosobistego, niezależnego od ludzi, od ich myśli, woli, pragnień, zdolności poświęceń. Oczywiście odrzucić należy całkiem już naiwny pogląd na historię, jako na zbiór konkretnych wskazówek co

do praktycznych posunięć politycznych.

Krótko mówiąc, skłonni jesteśmy przyjąć za dobrą monetę zapewnienia sceptyków, że "historia jest jak światło na rufie okrętu, które odbija przeszłe fale" (Burke) i że "jedyłą nauką, jaką daje historia, jest to, że historia żadnych wogóle nauk nie daje" (Armstrong).

Ale gdy śledzimy pilnie bieg wydarzeń, ogarnia nas sceptycyzm. Sceptycyzm w stosunku do tych sceptycznych wypowiedzi. Jakkolwiek mogłoby nas razić wulgarnie uproszczenia - a wiara w historię, jako "mistrzynię życia", jest napewno uproszczeniem - nie możemy zaprzeczyć istnieniu i działaniu pewnej siły, którą można by nazwać l o g i k ą h i s t o r i i i która, wbrew woli ludzi, łączy sytuacje w szeregi, znane już z przeszłości.

W świetle ostatnich wydarzeń istnienie tej siły ujawnia się ze szczególną wyrazistością.

Czego historia nauczyła Hitlera

Hitler wierzy w historię jako mistrzynię życia. Jest przekonany, że analogiczne sytuacje pociągają za sobą analogiczne rozwiązania. Analizując w "Mein Kampf" warunki, w jakich Niemcy prowadzili wojnę w latach 1914-1918, wykazuje, jakie czynniki spowodowały jej katastrofalne dla Niemców zakończenie.

Z tych analiz wypłynęła cała doktryna polityczna Hitlera. Hitler stawia sobie za cel wyeliminowanie tych czynników, "wypędzenie ich z historii na zawsze", jak się sam wyraża. On nie powtórzy błędów Wilhelma II. On nie dopuści do sytuacji, w której Niemcy zmuszone będą walczyć na kilku frontach równocześnie. On tak ustawi elementy sytuacji, że wszelkie znamiona analogii z pierwszą wojną światową zostaną usunięte - i tym samym usunięta zostanie analogia z jej tragicznym dla Niemców wynikiem.

"Metoda kartezyjska"

Na tej koncepcji oparta była taktyka polityczna Hitlera. Taktyka, zmierzająca do wyeliminowania niebezpieczeństwa walki z kilku przeciwnikami naraz. Taktyka, którą dość chętnie Hitler nazywał "kartezyjską metodą" rozszczepiania złożonych zagadnień na proste problemy i kolejnego ich rozwiązywania.

Wiemy, jak wyglądała ta "metoda kartezyjska". Pierwszy prosty problemat - to Polska. Wyeliminowana definitywnie - tak to sobie "kartezyjanin" wyobrażał - w roku 1939, przy pomocy blitzkriegu, i dzięki układowi Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia tegoż roku.

Drugi "prosty problemat": Rosja. Rozwiązany po kartezyjsku przez rzeczony układ oraz przez "zniesienie Polski z powierzchni życia", jak to barwnie, acz nieco przesadnie, określił pijany trium-

fem Goering w mowie w Reichstagu z października tegoż roku.

Zawczasem kwiatku, zawczasem!

W tejże samej mowie Goering dość poohpnie stwierdził fakt rozwiązania trzeciego problemu, rozwiązania, wynikłego automatycznie z dwóch pierwszych: "Usunięte zostało definitywnie niebezpieczeństwo walki na dwóch frontach równocześnie. Niemcy narodowo-socjalistyczne nigdy nie powtórzą - rękojmią osoba Führera - straszliwego błędu Niemców wilhelmowskich. Dzięki temu osiągną cele, jakich tamte Niemcy osiągnąć nie mogły."

Dalsze problemy "kolejno rozwiązywane". Po Wschodzie (Polska) - Zachód (Francja). Potem Południe: Jugosławia i Grecja. I wreszcie powrót do problemu, jak się okazało, jeszcze nie definitywnie rozwiązanego, do Rosji. Po pogromie Francji, a przed decydującą rozprawą z Anglią, Hitler postanowił wyeliminować tę jedyną istniejącą wówczas siłę, która mogłaby w odpowiednim momencie zwrócić się przeciw Niemcom i zadać im śmiertelny cios z tyłu.

Dlaczego Hitler nie zrobił inwazji?

Hitler chciał rozwiązać "po kartezyjsku", t.zn. oddzielnie, w cztery oazy, problemat angielski. Dlaczego Hitler nie zdobył się na inwazję na wyspy brytyjskie po pogromie Francji? Dlatego, że na jego tyłach stał kolos rosyjski, gotowy w toku rozprawy wymierzyć mu mordercze uderzenie z "drugiego frontu".

Solidnie zainstalowany w "fortecy europejskiej", zabezpieczony przed Anglią frontem, ciągnącym się "od Norwegii do La Manche i od zatoki Biskajskiej do Suez" - Hitler postanowił obrnąć z widowni Rosję i podjąć swój "blitz", którego przebieg okazał się dlań tak nieoczekiwany.

Czynnik, za którego sprawą Hitler w siedmionielowych butach zdążył do katastrofy, to nie tylko ziemia rosyjska i nie tylko produkcja amerykańska. To l o g i k a h i s t o r i i, która bierze swój odwet. Logika, okazująca się silniejszą, aniżeli wola ludzi, którzy choćli iść jej na przekór.

Wraca ją mary przeszłości

Hitler uczynił wszystko, aby zerwać analogię z przeszłością. Udało mu się chwilowo wyeliminować najgroźniejszych przeciwników, jak Polska i Francja. Udało mu się zapewnić sobie neutralność - i bardzo życzliwą neutralność - Rosji. Udało mu się przeciągnąć na stronę Niemiec Włochy i Japonię. Udało mu się poddać pod swą dominację bezmiar całej Europy. Udało mu się otoczyć Europę murem, który uważał za nienaruszalny.

A jednak mimo te wszystkie osiągnięcia sytuacja jest dziś t r a g i c z n i e dla Niemców podobna do sytuacji sprzed

ćwierć wieku. Wszelkimi egzorcyzami odganiane, mury przeszłości wracają w komplecie. Rzeczywistość okazała się dla Niemców gorsza od najgorszych obaw, bo oto już muszą walczyć nie na dwóch frontach, ale na trzech i - według zapewnien Prezydenta Roosevelta - ilość tych frontów wkrótce wkrótce do czterech, pięciu lub sześciu.

Pryśnął mit Blitzkriegu - i Niemcy muszą prowadzić typ wojny, którego się najbardziej obawiały i od którego się najbardziej odżegnywały - wojny na wyczerpanie.

Rozwiązała się triumfalna koncepcja ofensywy za wszelką cenę, i pod naciskiem twardej konieczności Niemcy musiały przyjąć strategię, o której Goebbels jeszcze latem 1942 roku mówił, że "(strategia) wyczerpująca się w defensywie musi nieuchronnie doprowadzić do sparaliżowania inicjatywy i woli skazanego na nią narodu".

Metody zaskoczenia, desanty powietrzne, wściekłe ataki lotnicze, wojna nerwów - wszystkie te środki, wyrosłe z niemieckiego pragnienia zerwania wszelkich analogii z przeszłością, stworzenia z tej wojny czegoś absolutnie bez precedensu w dziejach - stopniowo stępiały swe ostrze, aby ostatecznie całkowicie zwrócić się przeciw Niemcom.

Odwet historii

Anglia, najważniejszy przeciwnik, który według "kartezjańskiej" metody Hitlera miał być wyizolowany od swych sprzymierzeńców i "załatwiony indywidualnie", trwa na placu, silniejszy niż kiedykolwiek, w otoczeniu największych potęg świata.

Sprawa włoska, która zdawała się być tak triumfalnie załatwiona przez Niemcy, ewoluuje po linii wyznaczonej przez tradycję historyczną. W tamtej wojnie Włochy - dawny sprzymierzeniec państw centralnych - znalazł się ostatecznie w obozie Ententy. W tej wojnie proces ten trwa dłużej, ale jego zakończenie będzie identyczne.

Problemat francuski, który - jak się Niemcom w pewnym momencie wydawało - rozwiązano ostatecznie, jak się okazuje, był załatwiony bardzo półowocnie i bardzo czasowo. Naprzekór Lavalowi i Pétainowi Francja bierze w wojnie przeciw Niemcom udział całkiem efektywny i w miarę postępów Sprzymierzonych na ziemi francuskiej - zawarte układy okazały się wyrazem pobożnych życzeń jednej tylko strony.

Tak, historia bierze swój odwet. Jej logika okazuje się silniejsza, niż logika ludzi, którzy chcieli odwrócić jej bieg i stopniowo, lecz nieubłaganie przywraca układ elementów, które Hitler w swej pysze bezwzględnej mniemał ukształtować na miarę swych szalonej ambicji.

EWOLUCJA CZERWONEJ ARMII

Kwartalnik amerykański "Foreign Affairs" zamieszcza obszerny artykuł na temat ewolucji, jaką przeszła armia sowiecka. Artykuł napisany został przez znanego dziennikarza amerykańskiego Lolanda Stowe, który w czasie wojny sowiecko-fińskiej przebywał w Finlandii, a w roku 1942 był korespondentem pism nowojorskich w Rosji.

Autor stawia sobie na wstępie pytanie, jak wytłumaczyć fakt, że armia sowiecka tak źle się biła w czasie wojny fińsko-sowieckiej, a obecnie odnosi tak znaczne sukcesy w walce z niepomniecznie potężniejszym przeciwnikiem? Odpowiedzi na to pytanie szuka on w elastyczności sowieckiej maszyny wojennej i w zasadniczych zmianach organizacyjnych, jakie zostały wprowadzone w czerwonej armii.

Likwidacja "politruków"

Jednym z pierwszych doświadczeń kampanii fińskiej, które zostało w obecnej wojnie wykorzystane, było zniesienie instytutu politycznych komisarzy w armii, t. zw. politruków. Władza, w jaką byli wyposażeni w zakresie kontrolowania lojalności każdego dowódcy, ingerencja do spraw czysto wojskowych - skłonna, kompetencja, jak to określa Stowe, "wojskowego kapelana, oficera wychowawczego, propagandzisty i eksperta, określającego kwalifikacje oficerów", przy minimalnych najczęściej kwalifikacjach, zwłaszcza w zakresie wiedzy czysto wojskowej, oraz przy znanych metodach "pracy" politruków - dawały jak najgorsze wyniki. Toteż w niespełna miesiąc po rozpoczęciu obecnej wojny, Rada Najwyższa ZSRR podporządkowała t. zw. komisarzy wojennych - dowódców, składając na nich odpowiedzialność nie za prawymysłność polityczną, lecz za "należytą wypełnianie zadań wojennych". W październiku 1942 instytucja komisarzy wojennych, nawet z tak ograniczonym zakresem uprawnień, została zniesiona. W ten sposób ostatecznie został zlikwidowany system dublowania dowódców oddziałów.

Nowa elita

Ta przemiana organizacji armii czerwonej wiąże się z szeregiem innych zmian na tle psychologicznej i politycznej. Armia czerwona nie występuje już jako "armia robotników i chłopów", lecz obsypana orderami i odznaczeniami, wyposażona w liczne tak cenne w życiu sowieckim przywiłoże, stanowi specyficzną "elitę" w państwie sowieckim, jakiej Society nigdy przed tym nie znały. Rosyjscy oficerowie noszą teraz epolety ozdobione złotymi paskami. Oficerowie ci od pułkownika w górę mają na spodniach czerwone lampasy. Mundury są bardziej starannie szyte. W pierwszych miesiącach wojny oficerowie, spędzający swój urlop w Moskwie, nie mieli potrzeby troszczyć się zbyt o swój wygląd zewnętrzny. Często nosili swoje

polowe mundury, niezgrabne buty i obkadowani byli pakunkami. Wszystko to zostało obecnie zakazane. Rosyjski oficer obecnie jest obciążony nosisć w mieście swój najlepszy mundur, ma on przypomnieć społeczeństwu, że armia reprezentuje coś specjalnego, że tworzy ona specjalną klasę i pozycję.

Rosyjscy żołnierze zwracają się nadal do swoich oficerów: "Towarzyszu generale!" jednak cały szereg urzędzeń poczynił stopniowanie w "towarzyszeniu się" i wątpliwym raczej jest, czy rozwój tych urzędzeń przemawia za równością. Kluby oficerskie zostały stworzone po raz pierwszy w historii Związku Sowieckiego. Stowe widział wiele kobiet w mundurach, pełniących czynności ordynansów w wielu biurach i sztabach. W kilka miesięcy później wydany został rozkaz, że oficerowie Czerwonej Armii powinni mieć męskich ordynansów do podawania posiłków, czyszczenia butów i spełniania innych czynności porządkowych. Kilka lat temu, gdyby kto doradzał tego rodzaju urzędzenia w proletariackiej czerwonej armii, uważano by radę taką za zdradę rewolucji.

Według carskich wzorów

Dnia 22 sierpnia 1943 roku został ogłoszony sowiecki plan rekonstrukcji powojennej. Zarys tego planu przewiduje utworzenie 9 szkół wojskowych celem szkolenia chłopców między ósmym a 17-ym rokiem życia na oficerów czerwonej armii. Szkoły te, nazwane imieniem Aleksandra Suworowa przypominają pod pewnymi względami dawne szkoły kadetckie z czasów przedrewolucji.

Wszystko to wskazuje, że obecnie panuje w czerwonej armii inny kierunek. Jest to kierunek elitarniej organizacji wojskowej, który kładzie nacisk na nacjonalizm, a pomija doktryny rewolucyjne. Żołnierze czerwonej armii stali się pierwszymi obywatelami Z.S.R.R. W rzeczywistości też, oficerowie czerwonej armii otrzymali więcej przywilejów i zostali bardziej wyróżnieni, niż członkowie partii komunistycznej. Tak tedy psychologicznie, jak i fizycznie jest to nowa czerwona armia. Wyposażona w wybitny prestiż, wydaje się być bezkonkurencyjną potęgą. Ten rozwój szedł w parze ze stałym wzrostem nacjonalistycznych uczuć w narodzie rosyjskim, jako całości. Nie należy uważać za przypadek, że K r e m l od samego początku głosił, że wojna ta jest "wojną patriotyczną", oraz że nowe odznaczenia nazywane są od dawnych wielkich bohaterów rosyjskich, jak: order Aleksandra Suworowa, order Mikołaja Kutuzowa lub order Aleksandra Newskiego.

Śród rozmaitych odznaczeń rewolucyjnych, z czerwonym sztandarem i czerwona gwiazda włącznie, tylko tytuł bohatera Związku Sowieckiego i order Lenina rywali

zują z tymi nowymi nacjonalistycznymi orderami. Dalszy wzrost siły czerwonej armii w Związku Sowieckim w przyszłej generacji zależy będzie jednak w końcu od tego, czy czerwona armia służyć będzie zabezpieczeniu i umocnieniu państwa sowieckiego, czy też stanie się instrumentem odmiennego rodzaju imperializmu. W tej chwili każdy może stwierdzić, że dominującym momentem jest rosyjski nacjonalizm.

Niebezpieczeństwo jest widoczne

W wyniku swoich obsternych wywodów, omawiających łatwość i sprężystość, z jaką przeprowadzono zasadnicze zmiany w dowództwie, przystosowanie do nowych zadań i taktyki nieprzyjaciela, uniejętność wyciągania wniosków z popełnianych błędów, gotowość okupienia czasu poświęcenia przestrzeni i życia sowieckich żołnierzy tak długo, jak długo tego wymagają konieczności, itp. - Stowe stwierdza, że należy liczyć się z tym, iż po tej wojnie Rosja może mieć bezkonkurencyjną w Europie i Azji armię, na której czele stać będzie nowa wojskowa arystokracja, uwieczniona laurami sławy i zwycięstwa. Armia ta stać będzie na straży kraju, którego wielkie przestrzenie zostały zniszczone, którego 150 milionów ludności żyje w nędzy i którego gospodarstwo jest mocno nadwyrężone.

Dzisiejsi sprzymierzeńcy Rosji mogą być łatwo ogarnięci obawą przed kolosem czerwonej armii, zwłaszcza jeśli w przyszłości nie miał istnieć pewny i niezawodny system powszechnego bezpieczeństwa, na którym polegać można będzie z całym zaufaniem.

W tym tkwi sedno zagadnienia. Autor artykułu chciałby wierzyć, że Rosja będzie gotowa także ze swojej strony szanować i rozumieć inne narody. Stwierdza jednak, że powodzenie w uzyskaniu porozumienia będzie ciężkie do osiągnięcia - lecz jest ono konieczne, by świat mógł zaznać ery prawdziwego pokoju.

-00-

W PERSPEKTYWIE TYGODNIA

Wizyta premiera Mikołaja Jęczyka w Stanach Zjednoczonych jest niewątpliwie ważnym i znaczącym wydarzeniem politycznym, nie tylko na odcinku spraw polskich, ale i w skali międzynarodowej. Konferencje premiera polskiego w Białym Domu i w Departamencie Stanu dały asumpt do niezliczonej ilości komentarzy, przypuszczeń i sugestii w prasie zarówno brytyjskiej i amerykańskiej, jak i neutralnej - na temat możliwości zlikwidowania zatargu polsko-sowieckiego oraz wysiłków w tym kierunku, podejmowanych przez rząd Stanów Zjednoczonych.

Doniesienia prasowe o do przebiegu i wyniku rozmów były różnorodno i niejedno-

krotnie sprzeczne z sobą. Czytaliśmy więc raz o konkretnym projekcie, wysuwanym jakoby przez premiera polskiego, to znów donoszono, że żadna sformułowana propozycja nie została ze strony polskiej przedstawiona. Jedni komentatorzy wyrażają pogląd, że wizyta prem. Mikołajczyka jest poważnym krokiem na drodze wyjścia z impasu w zakresie stosunków polsko-sowieckich, a w Sztokholmie posuwają się nawet do twierdzenia, że likwidacja targu jest kwestią najbliższej przyszłości. Inni komentatorzy zaś twierdzą, że wizyta "nie wytworzyła nowej sytuacji, a co najwyżej zdokąd wytworzyć nową atmosferę".

Oficjalne oświadczenia prem. Mikołajczyka, składane przedstawicielom prasy, ze zrozumiałych względów obracają się w ramach zwykłych w tego rodzaju wypadkach formuł dyplomatycznych i nie odsłoniły, rzecz prosta, kulis różnów z Rooseveltem, Cordell Hullem i Stettiniusem, których przebiegu tak ciekawi są nie tylko dziennikarze. Premier Mikołajczyk, odpowiadając na pytania przedstawicieli prasy, ujawnił, że stosunki polsko-sowieckie były omawiane w rozmowach z prez. Rooseveltem, lecz szczegółów tych rozmów nie może obecnie ujawnić.

W tym stanie rzeczy brak jest właściwie istotnych elementów dla oceny, czy i jak dalece wizyta prem. Mikołajczyka w Waszyngtonie wpłynie na zmianę w aktualnych stosunkach polsko-sowieckich. Pewne fakty jednak wydają się być bezsporne i warto je sobie uprzytomnić.

1° Wizyta prem. Mikołajczyka w Waszyngtonie odbywała się w atmosferze specjalnie podkreślanej życzliwości, serdeczności, przyjaźni i uznania rządu St. Zjednoczonych dla narodu polskiego; okoliczność ta, łącznie z wyjątkowo uroczystym charakterem przyjęć oficjalnych na cześć premiera rządu polskiego, posiada niewątpliwie swoją wymowę.

2° Wątpić należy, aby prez. Roosevelt w pierwszych dniach inwazji na kontynent, gdy najważniejsze prace państwowe absorbują go bardziej niż kiedykolwiek, zapraszał do siebie prem. Mikołajczyka jedynie w celu zademonstrowania swych uczuć dla narodu polskiego, nawet gdyby ta demonstracja miała wyraźny cel, obliczony na efekt nie tylko w Polsce; raczej trzeba sądzić, że prez. Roosevelt uznał za konieczne osobiste omówienie z premierem rządu polskiego doniosłych spraw, których załatwienie w świetle rozwoju wydarzeń staje się palące nie tylko dla Polski, ale również dla Rosji i wszystkich narodów zjednoczonych.

3° Nie ulega wątpliwości, że prezydent Roosevelt wraz z rządem St. Zjednoczonych nie tylko nie zmiechał intencji pośredniczenia w sporze między Polską a Rosją,

ale postanowił uaktywnić swą rolę w tym zakresie.

4° Podkreślić wreszcie trzeba, aczkolwiek z dużą ostrożnością, co do wysnuwania dalej idących wniosków, fakt złagodzenia tonu prasy i radia sowieckiego w stosunku do rządu polskiego; komentatorzy neutralni uważają to za bardzo znamienne i dające wiele do myślenia, ry - znając dobrze możliwości każdego nagłego zwrotu w propagandzie sowieckiej - jesteśmy wstrzemięźliwi w ocenie znaczenia tego faktu.

Reasumując - wizyta prem. Mikołajczyka w Waszyngtonie spowodowała niewątpliwie poważne ożywienie na odcinku spraw polsko-sowieckich. Najbliższa przyszłość okaże, jakie będą jej realne rezultaty.

Samoloty bez załogi, które okazały się dawno zapowiedzianą przez Niemców tajną bronią, rezerwowaną na "powiedzenie ostatniego słowa" - stanowią dziś przedmiot zainteresowania całego świata. Dotychczasowy przebieg bombardowania wysp brytyjskich przez te samoloty, a raczej torpedy powietrzne, pozwala już wysnuć wnioski co do znaczenia nowej broni niemieckiej. Nie ulega wątpliwości, że "bomby latające" wyrządziły szkody w Anglii i spowodowały straty w ludziach. Jednocześnie jednak jest już rzeczą jasną, że nie posiadają one żadnego znaczenia militarnego i nie mogą wpłynąć w żadnym nawet stopniu na możliwości wojenne Aliantów. Ostatnie dni wykazały, że ustawiczne wysyłanie nad Anglię "bomb latających" nie odbiło się w żadnej mierze na działaniach brytyjsko-amerykańskich w Normandii. Samoloty bez załogi, wyrzucane na ślepo, nie są w stanie ani niszczyć baz o znaczeniu militarnym, ani też związać poważniejszych sił lotnictwa sojuszniczego. Zresztą już i propaganda niemiecka przyznaje, że samoloty bez załogi nie są epokowym wynalazkiem wojennym, który doprowadzić ma do zwycięstwa, ale że mają one umożliwić Niemcom odwet za zniszczenie Berlina i ruiny miast Rzeszy. Ale i te "skromne nadzieje" Niemców, że Londyn zostanie zrównany z ziemią podobnie jak Berlin - nie mają żadnego uzasadnienia. Sprzymierzeni znają już szczegóły konstrukcyjne nowej broni i opanowali pewną ilość wyrzutni "latających bomb", co pozwoli niewątpliwie w najbliższym czasie na skuteczną walkę. Bombardowanie na szeroką skalę wyrzutni samolotów bez załogi zneutralizuje w znacznym stopniu tę nową broń niemiecką. Już po kilku dniach działań samolotów bez załogi akoja niemiecka w tym zakresie znacznie osłabła, jednocześnie zaś lotnictwo brytyjskie i artyleria plot coraz skuteczniej przeciwdziałają temu nowemu bombardowaniu miast i ludności cywilnej. Nic nie wskazuje na to, aby Anglia przypomnieć miała sobie lutyjskie dni 1940 roku.